Rok 1936 29 listopada Nr. 48.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Latarnia morska i jej strażnik



Wszędzie ponad bezmiarami morskich wód stawia się u brzegów lądu na wysuniętych jego cyplach czyli t. zw. przylądkach, wysokie wieże murowane, na których szczycie urządza się latarnie o silnym, daleko sięgającym świetle. To zapalające się i na przemian gasnące światło zwraca uwagę żeglarzy, pozwala im się zorientować gdzie się znajdują, kiedy burze i huragany zepchną ich statki z właściwej drogi, rzucając nimi jak łupinami orzecha. To światło oznaczające wśród ciemności, że niedaleko jest ląd, dodaje niekiedy ostatnich sił rozbitkom w straszliwej walce o uratowanie życia. To światło ostrzega też przed niebezpiecznymi mieliznami i skałami, na których rozbić się mogą najmocniejsze okręty.

I na naszym, choć tak niewielkim wybrzeżu Bałtyku, znajduje się kilka latarń morskich, z których jedną przedstawia podana rycina. Jest to latarnia w Rozewiu, a słynna z tego, iż mieszkał w niej swego czasu znakomity pisarz Stefan Żeromski i gdzie powstała jego znana po całej Polsce książka p. tyt. „Wiatr od morza“. Pisał ją na tej samotnej strażnicy, oderwawszy się od życia miejskiego, cały wsłuchany jeno w szumy wichrów i nieustające rozhowory fal... Stamtąd oczy jego wypatrywały na horyzoncie pióropuszów dymu olbrzymich parowców lub żagli łodzi rybackich; zachwycały się srebrnym połyskiem skrzydeł białych mew, złocistym potokiem blasków słonecznych, rozlanych na cichej toni morza, czy tajemniczą poświatą wędrującego po niebie miesiąca. To wszystko przemawiało do duszy poety-pisarza, a on wdzięczny być

musiał zapewne tym, którzy mu ułatwili pobyt w nadmorskiej samotni, odjąwszy mu wszelkie troski codziennego życia.

Na długie jednak lata przed Żeromskiego „Wiatrem od morza“ istniał już w literaturze naszej inny utwór, którego bohaterem jest rzeczywiście strażnik latarni morskiej. Tytuł tego opowiadania: „Latarnik“, autorem — ten sam Henryk Sienkiewicz, którego 20 rocznicę śmierci 15 listopada obchodziła cała Polska.

Rzecz dzieje się — jak wiadomo — w Ameryce, dokąd po długim tułaczym życiu przybywa Polak Skawiński. Trafia do miejscowości Aspinwall, niedaleko Panamy, gdzie właśnie zabrakło strażnika do morskiej latarni, gdyż poprzedni niespodziewanie gdzieś zaginął. Nie mogła ona w żaden sposób pozostać bez obsługi, bowiem zatoka, nad którą stała, pełna była niebezpiecznych mielizn i łatwo przydarzyć się mogło jakiemu statkowi nieszczęście. Ale też nie łatwo było znaleźć odpowiedniego człowieka, a ochotnych do tej pracy w ogóle brakło, gdyż życie na samotnej wieży nikomu się nie uśmiechało. To też, kiedy się zgłosił Skawiński, chętnie go przyjęto, tym bardziej, że budził zaufanie swoim niezwykłym wyglądem. Mimo lat 70. postawę miał żołnierską, takież ruchy i tylko twarz jego wyrażała przygnębienie i smutek.

Nic dziwnego. Całe jego życie było jednym pasmem trudów, niepowodzeń i zawodów, niczego więc już nie pragnął, jak tylko móc osiąść gdzieś na stałe w spokoju i samotności. Posada latarnika na bezludnej wysepce była dla niego jak wymarzona. Toż gdy się znalazł tego samego jeszcze dnia w swojej czatowni, wysoko między morzem a niebem, duszę jego przepełniło uczucie niewysłowionej rozkoszy. Był pewny, że tu pozostanie już aż do śmierci.

Zaczęły Skawińskiemu płynąć jednostajnie godziny, dni i tygodnie nowego życia. Czuł się szczęśliwym, jak nigdy. Wstawał o świcie, brał posiłek, czyścił szkła latarni, a potem siadłszy na ganku obiegającym wieżę, wpatrywał się w dal morską i oczu nie odrywał od obrazów, jakie mu się przesuwały wciąż nowe i nowe. Stąd też widział port w Aspinwall, gdzie w południe ustawał wszelki ruch i wielka zalegała cisza. Poznał się tu i z mewami, które zlatywały się do niego, gdy rzucał im resztki swego jadła. Wieżę opuszczał tylko czasami w niedzielę zrana; wtedy zawiesiwszy na swej kapocie strażniczej wszystkie krzyże i odznaki, jakie zdobył na wojnach, szedł do kościoła na nabożeństwo. Po Mszy jednak wracał natychmiast do siebie, unosząc pożyczoną od kogoś gazetę hiszpańską, w której poszukiwał skwapliwie wiadomości z Europy, z dalekiej Ojczyzny. Sam może jednak nie wiedział, za czym tęskniło jego biedne serce.

Wkońcu zaprzestał bywania w mieście; nie pokazywał się nikomu, a jedynym znakiem że żyje, było znikanie żywności, jaką mu codzień zostawiano na brzegu u stóp wieży, i regularne co wieczór zapalanie latarni. Starzec zobojętniał zupełnie na wszystko i całym światem była mu tylko jego latarnia. Żył jakby półsnem, półjawą, aż zaczęło mu się wydawać, iż on sam jest cząstką tego wszystkiego, co go otacza, to wszystko zaś jest jedną ogromną tajemniczą duszą, w której on wraz ze swoją żyje i koi się. Aż pewnego dnia przyszło przebudzenie.

Zeszedłszy nieco późniejszą porą z wieży, zastał Skawiński na brzegu, oprócz zwykłej żywności, jeszcze jakąś paczkę, obszytą płótnem, z wyraźnym adresem do niego. Zaciekawiony, przeciął płótno i ujrzał książki. Wziął jedną do ręki, spojrzał i położył z powrotem. Przysłonił oczy, jakby im nie dowierzając, a ręce zaczęły mu drżeć. Książka była polska. W swym wielkim wzruszeniu nie mógł zrozumieć, jakim cudem mogła dojść do niego aż tutaj, zapomniał bowiem zupełnie o tym, że swego czasu, dowiedziawszy się, iż w Nowym Jorku powstaje polskie Towarzystwo, posłał mu połowę swojej pensji strażniczej. Teraz ono wywdzięczając się za ofiarę, przysyłało staremu samotnikowi książki.

Skawińskiemu zdało się, że śni, a kiedy oczy otworzy, książki znikną. Ale nie. Paczka leżała przed nim w blasku popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Wziął ją w rękę, a wśród ciszy usłyszał bicie własnego serca. Przeczytał tytuł, pod nim imię i nazwisko autora. Był to „Pan Tadeusz“ Adama Mickiewicza. Przed wielu laty słyszał o wielkim poecie i nawet czytywał jego utwory we Francji, dokąd tylu Polaków schroniło się po nieudałym powstaniu r. 1831, ale wśród dalszej tułaczki po szerokim świecie zapomniał o wszystkim, nie oglądając zresztą nigdy polskiej książki. Aż tu ona przywędrowała do niego! Wśród wielkiej ciszy rozległ się głos starca:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...“

Skawińskiemu zbrakło głosu. W piersi jakby mu się coś urwało i szło falą od serca wyżej, ściskając za gardło. Opanował się jednak i czytał dalej.

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu, —
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...“

Nie wytrzymał dłużej. Ryknął szlochem i rzucił się na ziemię, rozsypując swe mleczne włosy w piasku nadmorskim. „Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna!

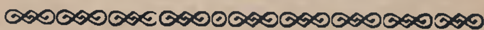
W łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem. On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać“.

Chwile mijały jedna za drugą, on wciąż leżał. Wreszcie zbudziły go mewy szumem swych skrzydeł. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i dziewiczym lasem Panamy i staczało się ku drugiemu oceanowi, ale Atlantyk był jeszcze pełen blasku; w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...“

. . . .

(Dokończenie nastąpi.)



Latarnia helska

Inna latarnia morska na polskim wybrzeżu Bałtyku znajduje się na półwyspie Helskim. Jesienią i zimą szaleją tam gwałtowne burze, to też strażnica ta spełnia bardzo ważną rolę. Jak musi być odpornie zbudowaną na wściekłe huragany północy, dowodzą tego jej mury, które u podstawy mają 2 metry grubości. Mimo to, zdarza się, iż w czasie wichur latarnia się chwieje. Przyrząd specjalny wykazuje, iż odchylenie jej od linii pionowej wynosi niekiedy więcej, niż 20 cm. Dotychczas jednak potężna latarnia na Helu oparła się szczęśliwie wszelkim burzom, chociaż liczy już sobie 130 lat.

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 45:
minki, wyki, wy — wypominki.

Wspomnienia listopadowe

Listopad — to dla Polski miesiąc wielu drogich wspomnień. Przeważnie były one żałobne, bo w tym miesiącu umierali najlepsi synowie Ojczyzny. Z nim łączy się też pamięć wielkiego powstania narodowego roku 1830/1 dla zrzucenia kajdan przemocy, po którym jednak jeszcze straszniejsza nastała dla nas noc niewoli.

Ale listopad roku 1918 dał nam wkońcu dzień szczęścia odzyskania straconej przed półtora wiekiem niepodległości.

Między tymi, którzy rozstali się ze światem właśnie w listopadzie jest największy wieszcz nasz narodowy Adam Mickiewicz i słynny po całym świecie powieściopisarz Henryk Sienkiewicz. Uczczeniu ich obu poświęcony właściwie został cały numer „Dzwoneczka“. Niechaj że jeszcze paroma słowami poza wyjątkiem z „Pana Tadeusza“, przemówi natchniony twórca „Dziadów“, „Konrada Wallenroda“, „Grażyny“ i t. d. przepięknym wierszem „Arcymistrz“, z którego podajemy dwie strofy:

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru,
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku —
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Jest Mistrz, co malował na niebios błękicie,
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie,
I w głębi ziemi odlał je z metali.
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli Tworzyciela.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marjan Warta.

(Ciąg dalszy).

Gdy tylko wstanie i o własnych siłach chodzić potrafi, wybierze się tam o północy. Przemyśliwając nad tym po całych dniach w chorobie, miał dość czasu, by sobie wszystko ułożyć szczegółowo.

Wszyscy tam spać będą, kiedy on wyjdzie z altany ogrodowej. Psy tylko coś zwietrzą i przeraźliwie ujadając, wpadną z dziedzińca na ogród. On ku nim już z daleka „ol rajt“ zawoła, brytany ucichną, po czym spokojne podbiegną mu do nogi. Pozna go Tygrys, pozna go i Żmija, witać się będą i cieszyć.

To też nie ma obawy, by ktokolwiek z domowników lub z załogi wojskowej mógł zwrócić uwagę na zjawienie się obcego wewnątrz dworu.

Straże czuwać muszą, ale baczenie dają na to tylko, co się dzieje z zewnątrz forteczki.

Przecież nikomu na myśl nie przyjdzie, by wtedy, gdy bramy i mury są strzeżone, mógł się do środka dostać nieprzyjaciel z pod ziemi.

Naturalnie, że ujadanie brytanów musiałoby czatowników pobudzić, a wówczas, w przekonaniu, że psy zwietrzyły coś podejrzanego, zaczętoby szukać.

— Jeżeli psów mogę być pewnym — myślał Józef — nic nie może mi przeszkodzić w urzeczywistnieniu planu.

Roił sobie tedy dalej jak wśród nocnych ciemności podkradnie się chyłkiem do śpichlerza.

Dobrze zna jedno miejsce, dogodne dla jego celów, a pamiętne mu z dawnych zabaw. Tuż na ogród wychodzi z największego śpichlerza ogromne okno bez szyb, jeno kratą żelazną zamknięte.

Przez to okno wrzuci smolne łuczywo do środka między nieprzebrane masy zboża, nad którym na wyższych piętrach leżą setkami ciężkie wory z mąką.

Nikt nie zdoła ugasić pożogi, jaka się stąd rozszerzy.

Ale nie dość tego.

(Ciąg dalszy)